

"60 minut na godzinę" - najlepsze lata w polskim kabarecie



Nadawana w latach 1974-81 w programie III Polskiego Radia 60-tka była najsłynniejszą audycją radiową w tamtym czasie. Słuchało jej więcej słuchaczy niż Lata z Radiem, a nawet niż było widzów najpopularniejszych programów telewizyjnych. To z 60 minut na godzinę weszły do potocznego języka powiedzonka: „momenty były”, czy „nasz ulubiony ciąg dalszy”.

Wszystko zaczęło się od konfliktu dyrektorki Trójki Ewy Ziegler z Jackiem Janczarskim, po którym zlikwidowano „Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy”, gdzie nadawano Rodzinę Poszepczyńskich, skecze Marii Czubaszek i Jana Tadeusza Stanisławskiego. Ewa Ziegler poleciła Marcinowi Wolskiemu przygotować nową audycję w miejsce zdjętego ITR. Nadredaktor Wolski zaprosił do swego magazynu Jacka Fedorowicza, znanego z kabaretu „Bim-Bom”, filmów Do widzenia, do jutra i Nie ma róży bez ognia, oraz Jana Kaczmarka z wrocławskiej „Elity”, współtwórcę Studia 202. Prowadzącym został Krzysztof Materna, ale szybko rozstał się z magazynem. Powodem było... lenistwo Materny.

Aby „suchacze mnieli jasność”

Jacek Fedorowicz w młodości występował w radiu gdańskim i w Rozgłośni Harcerskiej, potem prowadził popularne programy telewizyjne Poznajmy się i Małżeństwo doskonałe. Od stycznia 1973 roku w Trójce wygłaszał felietony z cyklu Poradnia Zdrowia Psychicznego. Były to porady w rodzaju, jak żyć w absurdalnym świecie socjalizmu, jak załatwiać sprawy urzędowe, jak rozmawiać z ORMO-wcem, jak mieszkać w hotelach. W 1975 roku ukazały się w książce W zasadzie tak. Trzy lata później ukazał się W zasadzie ciąg dalszy. We wstępie autor zaznaczył, że uciążliwości „nie będziemy z naszego życia usuwać. Niczego znikąd usuwać nie będziemy. (...) Kto wie, może uda się je nawet polubić?”. Fedorowicz radził tu, jak udawać głupiego, kim być w grupie towarzyskiej, jak załatwiać telefon, jak zachowywać się w restauracjach, jak kupować bilety do kina itd. Porady te są dziś świadectwem tego, co sprawiało kłopot w PRL i jak się wtedy żyło. Autor drwił z ówczesnej manii centralizacji, pisząc o „Zjednoczonej Centrali Zakładów Zdecentralizowanych”.

W audycji 60 minut na godzinę Fedorowicz miał zagospodarować 20 minut. Stworzył coś niezwykłego: nagrywał samego siebie i podkładał głosy wymyślonych postaci rzekomej Redakcji Łączności z Terenem. Występował tu pod swoim nazwiskiem oraz jako Kolega Kierownik, antyinteligent rodem z czasów stalinowskich, którego język stanowił odmianę języka urzędowego, błędnej wymowy i niezrozumienia znaczenia „sów” (czyli „słów”). Kolega Kierownik mówił np. „czeba, aby suchacze mnieli jasność wew temacie”. W redakcji był też sepleniący strasznie siostrzeniec Kolegi Kierownika, czyli Kolega Spiker. Pojawił się też przedstawiciel mniejszości seksualnej „o węzowych ruchach”, Kolega Kuchmistrz. W redakcji był cudzoziemiec z USA zachwycony komunizmem, czyli Kolega Tłumacz, który nie rozumiał absurdów życia w PRL. Od czasu do czasu głos zabierał Pan Kazio, złota rączka, którego wymowa była specyficzna: wszystkie samogłoski wymawiał jako „a”. Fedorowicz wspominał, że pan Kazio został wzięty z życia. Tak mówił kierowca Estrady Szczecińskiej pan Justyn. Kiedyś w drodze zablądził i spytał chłopca: „Pan wia ktaranda da Szczacina?! Ba ja nia maga znaleźć chalara jasna!”. Przerażony wieśniak dał nogę.

W skeczach Fedorowicza mówiono jeszcze o Koleżance Córce. Syn Kolegi Kierownika nosił tytuł Kolegi Panicza. Była to aluzja do obyczajów ówczesnej pseudoarystokracji partyjnej, która pochodząc ze wsi przyjmowała bez zrozumienia obyczajowość dawnego ziemiaństwa. Pod koniec lat 70. w redakcji pojawiła się grupa konkurencyjna z redaktorem Fedorczykiem, oraz cudzoziemcem z Francji i jeszcze paroma kolegami. W eterze zrobił się tłok, ale scenki wymyślone przez Fedorowicza były bardzo zabawne. To dziwne, że nie są od tamtego czasu powtarzane.

Piotr Łopuszański

foto. T. Gutry

Cały artykuł w najnowszym numerze "TS" (28/2016) - do kupienia również w wersji cyfrowej [TUTAJ](#)

